



Kalendarium  
Zła

ŁUKASZ OGÓRKIEWICZ

*Kalendarium zła*  
© Łukasz Ogórkiewicz  
© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved  
Wszystkie prawa zastrzeżone  
Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek  
fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu  
wymaga pisemnej zgody twórców.

Pod redakcją: D.B. Foryś

Redakcja: Aleksandra Baranowska  
Korekta: Natalia Hermansa  
Projekt okładki: E.Raj  
Ilustracje: Sebastian Bauman, Christie Cassica, Dorota Chioma  
Skład: D.B. Foryś

Druk i oprawa:  
OSDW Azymut Sp. z o.o.,  
Łódź, ul. Senatorska 31

ISBN druk: 9788368177008  
ISBN e-book: 9788368177015

Wydanie pierwsze  
Wojkowice 2024  
Wydawnictwo Nie powiem  
E-mail: redakcja@niepowiem.com.pl  
Telefon: 518833244  
Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

[www.niepowiem.com.pl](http://www.niepowiem.com.pl)



# Kalendarium Zła

ŁUKASZ OGÓRKIEWICZ

**NIE  
POWIEM**

*Podziękowania dla:*

*Christie Cassisa,  
Daniela Niedziałka,  
Iwony i Heleny Ogórkiewicz.*

*Książkę dedykuję Bartkowi Kowalskiemu.  
Ty jako pierwszy uwierzyłeś w jej wartość.*

*Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz...*



# Rozdział 1

Gdy się obudził, usłyszał cichy płacz przypominający skomlenie małych dzieci żałośnie błagających o litość. Mimo ciemności rozpoznał własną piwnicę. Nie pamiętał, jak się tam znalazł. Paraliżowały go zarówno strach, jak i substancja krążąca w żyłach. Chciał krzyczeć, ale trudno mu się oddychało. Gardło wydawało się wypełnione lepką mazią lub jadem – trucizną wspinającą się po przełyku niczym zgaga. Nie potrafił zrozumieć, co się właściwie stało i jak do tego doszło. Zdawało się, że cała ta paląca moc pochodzi z jego słabnącego organizmu, który sam wywoływał objawy najgorszych chorób. Samuel Smith miał wrażenie, że czuje każdą kość, każdą cząsteczkę siebie. Organy wewnętrzne paliły,

jakby trawił je kwas. Nagle żołądek trafił do centrum narastającego cierpienia. Stał się źródłem rozlewającej się goryczy infekującej tkankę po tkance. W końcu niewyobrażalny ból ogarnął całe ciało, ale to, co Smithowi przedstawiała wyobraźnia, było nieporównywalnie boleśniesz niż fizyczne cierpienie.

– Czy ktoś tu jest? – wychrypiał i odchrząknął. – Co się dzieje? – Panicznie chciał rozjaśnić myśli.

Pytania wirowały w jego głowie, wrzynały się w przeciążone zwoje mózgowie. Z wysiłku umysł wpadł w otępienie, by później eksplodować nerwobólem. Przez katorgę młodzieńczych lat Sam zdążył się już jednak przyzwyczaić do nerwówki i dość dobrze nauczył się radzić sobie ze stresem. Ustabilizował tempo oddychania i uspokoił się dokładnie tak samo, jak robił to w dzieciństwie.

Powoli powracała mu pamięć. Jego aktualny stan fizyczny odpowiadał temu sprzed kilkunastu lat. Nagle przed oczami pojawiła mu się niemal namacalna wizja z przeszłości. Pierwszy kwiat, który wyhodował, odżył w jakże realnych wspomnieniach. Ta cudowna woń wydzielana przez mieniające się kolorami płatki znów po latach wypełniła nozdrza. Barwy i kształty zmaterializowały się przed oczami, tworząc idealny obraz rośliny, o którą dbał miesiącami. Otaczał ją taką miłością i oddaniem, że aż udało mu się wydobyć z niej wszystko, co mogło uczynić z niej ideał. Pamiętał dumę i zadowolenie z siebie, gdy ujrzał ją w dojrzałej, pełnej krasie.

Przez chwilę czuł się błogo, przyjemne ciepło rozpląnęło się po ciele. Narastało powoli, ale wyraźnie. Spokój jednak opuścił Samuela, gdy tylko gorączka ponownie dała o sobie znać. I oto kwiat leżał rozdeptany na podłodze i powoli tracił życie. Niegdyś majestatyczny kwiatostan teraz marniał i flaczał, kurczył się na

zabrudzonej ziemią desce. Płatki nie były już piękne i gładkie, tylko szare i pofałdowane niczym zmarszczki na twarzy staruszki.

Samuel próbował odciąć się od tej wizji. Bolesnie zacisnął powieki, po czym gwałtownie i zawzięcie zaczął kiwać głową we wszystkie strony. Pragnął zagłuszyć wewnętrzny, natarczywy głos, mamrocząc coś do siebie. Niewyraźne pomruki coraz bardziej przypominały błagalne „nie, nie”. W końcu zawył żałością i piskliwie. Po chwili zamilkł, wykrzywiając usta w niemym krzyku. Słabe płuca nie były w stanie wydusić powietrza przez skurczone gardło. Chciał wrzasnąć i wyrzucić z siebie złość, lecz nie mógł wydobyć nawet marnego jęku. Zrezygnowany, powoli tracił przytomność.

Nagle poczuł czyjąś obecność tak mocno i blisko, że aż dostrzegł rysy znajomej twarzy naprzeciw siebie. Zapach kwiatu zmienił się w okamgnieniu w alkoholowy wyziew. Mdlący, narastający miazmat<sup>1</sup>, spotęgowany odorem taniego piwa, dławił i wprowadzał w agonię. Samuel chciał się wyrwać i poderwać ręce, lecz wpijała się w nie lina. Dobrze wiedział, co zaraz nastąpi. Nie zważając na pogłębiające się rany na nadgarstkach, szarpał coraz mocniej. Początkowo wyglądał tak, jakby miotał nim prąd na krzesle elektrycznym, jednak po pewnym czasie, gdy znów ujrzał przed sobą tego samego potwora, zeszytniał. Bezwiednie powrócił do wspomnień, których nigdy nie zdołał wymazać z pamięci. Wskrzeszone obrazy wiły się i wdierały do wyobraźni niczym oślizgłe węże. Były żywe, namacalne i bardzo jadowite.

Ponownie znalazł się w starym, rodzinnym domu. W wizji miał zaledwie dwanaście lat.

---

<sup>1</sup> Miazmat – dawniej wyziewy pochodzące z rozkładu organizmów roślinnych lub zwierzęcych, teraz demoralizujące lub destrukcyjne czynniki.

– Ty głupi bękarcie. Czym ty się w ogóle zajmujesz? – Niewyraźna postać rzuciła doniczką o ścianę. Ceramika rozbiła się w drobny mak, a wandal zdeptał kwiat i kopnął splątaną korzeniami ziemię w kąt pokoju. – Co to za głupoty? Masz być facetem, nie babą, rozumiesz?

Samuel poczuł, jak jego policzki zapłonęły.

– Masz być silny, znacznie silniejszy niż ja, słyszysz mnie?

– Tak, tato – wyszeptał, gdy powracająca dłoń uderzyła drugą stronę twarzy.

– Z ciebie już nic nie będzie. Jesteś nikiem! Do niczego się nie nadajesz. Ten świat cię zniszczy. Jak śmiesz na mnie patrzeć? – Dłonie ojca splotyły się na szyi chłopca, odcinając mu dopływ tlenu.

Syn wybałuszył oczy, które desperacko wypatrywały ratunku. Nim odpłynął w ciemność, udało mu się zauważyć mamę. Kobieta przeszła korytarzem do swojego pokoju. Była skulona, a w dłoniach mocno ścisnęła różaniec, na którym, niczym umartwiając się pokutnik, skupiła całą uwagę.

\* \* \*

Mama Samuela przychodziła do niego co wieczór i kreśliła mu na czole znak krzyża, jakby ten symbol miał uchronić go przed wszelkim złem. Był to jedyny dotyk, na który sobie wobec niego pozwalała. Nawet lanie dostawał paskiem lub różgą, nigdy nie ręką. Czuł się jak trędowaty. Domyślił się, a właściwie policzył, że jego poczucie było wynikiem grzechu, ponieważ nastąpiło przed ślubem rodziców. Nie wiedzieć czemu przypisał sobie dużą część winy, która głęboko się zakorzeniała i szybko rozrastała w jego sercu. Coraz częściej myślał, że świat byłby lepszy bez niego. Wtedy



wydawało mu się, że nawet zła pogoda czy kataklizm to skutki jego nędznej egzystencji. Wstydział się tych nielogicznych stwierdzeń, ale nie potrafił wyrzucić ich z umysłu. Przeciwnie, z biegiem czasu coraz intensywniej utwierdzał się w przekonaniu, że to właśnie on jest głównym powodem wszystkich ziemskich nieszczęść. Wyszukiwał coraz bardziej niedorzeczne argumenty potwierdzające jego współwinę w tworzeniu wszelkiego zła tego świata. Stracił pewność siebie i zamknął się we własnym wnętrzu. Zaczynał ignorować zewnętrzne bodźce.

Przyzwyczał się do matczynego braku czułości i wzdrygał się, kiedy czuł dotyk kciuka kreślącego dwie przecinające się linie. Potem przywykł i do tego. Choć wcale mu się to nie podobało, i tak pozwalał na ten gest. Wciąż nie rozumiał, dlaczego ktoś chciałby go dotknąć i w jakim celu to robi. Wolałby, żeby matka przestała. Rozpalała w nim w ten sposób nadzieję na normalność, a przecież już dawno powinien porzucić tę mrzonkę. Wiedział, że kobieta nigdy nie weźmie rozwodu. Wpajała synowi katolickie wartości, więc w końcu zdał sobie sprawę, że będzie do śmierci pokutowała za swój cielesny grzech. Cierpienie i niedogodności życia codziennego uważała za sprawiedliwą boską karę i przyjmowała ten ciężar z pokorą.

Ojciec dobrze wiedział, jak wykorzystać tę religijną uległość. Nigdy nie przepuścił okazji, dolewał oliwy do ognia i podsyczał udrękę domowego piekła. Wysztytował, krytykował i wywoływał poczucie winy i niższości, obwiniając innych za własne błędy i niepowodzenia.

Samuel coraz częściej wyobrażał sobie życie bez tego samowładnego króla tyrana. Tylko syn i matka o boskim imieniu Mary. Zupełnie jak na obrazie Maryi z Dzieciątkiem Jezus, do którego modliła się wieczorami. Marzył o podobnym życiu i matczynej

troskliwości. On – zdolny, wychwalany uczeń. I ona – kobieta, która spokojnie wraca do domu po jednej zmianie w pracy.

Przejął już przecież większość powinności ojca i sam mógł zadbać o dom. Za szybko wydorósł. Dzieciństwo skończyło się, gdy zaczął mieć dość życia, nie tylko tego domowego, ale tak ogólnie. Myślał o samobójstwie, lecz bardzo się bał. W katolickim świecie ktoś, kto odebrał sobie życie, trafia do piekła, a tam może być jeszcze gorzej, i to przez całą wieczność. Jedynie to powstrzymało chłopaka przed tak drastyczną decyzją. Mocno wierzył w Boga i przestrzegał wszelkich zasad wiary. Podobnie jak matka modlił się coraz goręcej, ale zamiast prosić o nadzieję, pomyślność, odkupienie win i powrót do łask – bo za coś na pewno dobry Bóg go karze – coraz częściej prosił Stwórcę o bezbolesną śmierć.

Tego dnia również, odmawiając pacierz, poprosił o szybki koniec. Gdy położył się do łóżka, przyszła mama. Podeszła do niego i ułożyła usta w wymuszony uśmiech. Od dłuższego czasu zachowywała się tak, jakby wszystko było zupełnie w porządku. Coraz częściej używała denerwujących zdrobnień i lukrowanych zwrotów. Jej piskliwy głos stawał się nienaturalny. W chwilach, gdy rozmawiała z synem, celowo i sztucznie zmiękczała ton, ale i tak brzmiało to jak przeciąganie kredą po tablicy. Miał wrażenie, że usilnie się starała zagłuszyć wewnętrzny głos zdrowego rozsądku lub sumienia.

– W porządku, syneczku? – zapytała z udawaną czułością.

– Tak – odpowiedział obojętnie.

Wiedział, że mówienie o problemach nie ma sensu. Próbował już nie raz. Poddał się, gdy odkrył, że w rozumowaniu matki w domu, w którym gości Bóg, nie może być problemów.

– Udawaj, że śpisz. – Jej twarz przez ułamek sekundy wyglądała na przestraszoną. Usłyszała, jak ktoś próbuje trafić kluczem do zamka w drzwiach wejściowych i nerwowo szarpie za klamkę. – Zamknij oczy. – Zrobiła znak krzyża i szybko wyszła.

Rodzice nie spali ze sobą od lat, więc syna nie zdziwiło, że mama umknęła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Nie musiała nawet używać zamka. Ojciec już dawno stracił nią zainteresowanie i niezmiernie rzadko przekraczał próg obwieszonych świętymi obrazami sanktuarium. Mogło się wydawać, że nie docierają tam żadne dźwięki, gdyby nie to, że kobieta reagowała i wychodziła z pokoju, jeśli mąż, podnosząc głos, zwracał się do niej bezpośrednio. Wystarczyło, by odwrócił głowę od telewizora i wypowiedział jej imię, by po pewnym czasie zjawiała się koło niego i przekrzykując odbiornik, zawołała z wyrzutem: „Czego znowu ode mnie chcesz?!”

Zazwyczaj nie pojawiała się od razu. Powściągliwie wstawała z łóżka i wolno przemieszczała się w stronę ojca, jakby potrzebowała czasu, by wyjść z kojącego transu i przygotować się do walki z rzeczywistością, z którą coraz trudniej się uporać. Pozornie łatwiej byłoby wykrzyczeć coś w odpowiedzi zza zamkniętych drzwi, lecz wtedy jej pokój straciłby pozory dźwiękoszczelności. Mary nigdy nie kalala swojego miejsca głośną mową lub zachowaniem. Jej drzwi pochłaniały nieprzyjemne i niepokojące dźwięki niczym portal do piekieł przyciągający i wsysający demony. Nawet odgłosy znęcania się nad jej dzieckiem odbijały się bezdusznym echem od tej dziwnej, magicznej bariery, za którą czuła się bezpiecznie. Wystarczyło nie słyszeć zła. *Wszystko się samo ułoży, prawda?*, pytała w myślach, usprawiedliwiając się.

Na początku widziała w synu Tezeusza, który sam upora się z labiryntem życia i w końcu pokona potwora. Zapomniała jednak o tym, że grecki heros nie dokonałby tego bez pomocy Ariadny, a Mary przecież sama przecięła łączącą ją wcześniej z synem emocjonalną nić. Musiała ją przerwać, inaczej życie stałoby się nie do zniesienia, tłumaczyła się. Przecież nawet Bóg poświęcił syna. Bóg! A co dopiero ona, biedna i zapracowana kobieta – w ten sposób się pocieszała. Wołała zamieść wszystko pod dywan i udawać przykładną chrześcijańską matkę i żonę, niż zmierzyć się z prawdą o swojej bezduszności i niemocy kochania. Siedziała więc coraz częściej w swej pustelni. Próbowwała nie myśleć, lecz sumienie nie dawało jej spokoju, wołało coraz donośniej. Zamiast go wysłuchać, wybrała dobrze znaną drogę zaprzeczania. Poza domem często mówiła do siebie na głos, w taki sposób, by zostać usłyszaną przez osoby postronne. Wyolbrzymiała nieistotne problemy dnia powszedniego do takich rozmiarów, że rozsądny człowiek nie dawał rady z nią wytrzymać. Zaspokajała się ludzką naiwnością, odrobiną zainteresowania i współczucia, które w coraz większym stopniu zastępowały jej potrzebę miłości. Ludzie z dobrego serca lub z czystej ciekawości włączali się do dyskusji i tym samym wypełniali lukę. Niektórzy starali się pocieszać, uwypuklając jej dobre cechy. Wytrwali po kilku spotkaniach zapewniali o swoim podziwieniu. Mówili, że wiedzą o jej wielkim poświęceniu i ciężkiej pracy. Przekonywali, że w przedstawionej sytuacji nic lepszego nie dało się zrobić. Działo to jak miód na jej serce i głównie dlatego nigdy nie zawróciła w stronę światła i prawdy. Prawdy, która jako jedyna była w stanie ich wyzwolić lub chociaż zniwelować niepotrzebne cierpienia. Mary bała się nie tylko zmian, ale przede wszystkim odpowiedzialności za zaniedbania i obojętność

w stosunku do Samuela, a rosnące z tego powodu poczucie winy wypierała coraz częstszym użalaniem się nad sobą.

Osobą całkowicie ignorującą te pojękiwania i żale był jej mąż. Nie zważał na rozterki żony, która najczęściej debatowała sama ze sobą, co zrobić na obiad lub kolację. Od czasu do czasu jedynie odburknął, gdy prosiła go o pomoc w codziennych sprawach. Przeważnie kończyło się to krzykliwym monologiem mężczyzny. Słownym atakiem, po którym kobieta pokornie kapitulowała i powracała do swoich zajęć, godząc się na bezczynność i bierność partnera.

Zdarzało się też czasem, że wybuchła i wygrała potyczkę słowną, ale za te „zwycięstwa”, czyli zmuszenie męża do działania, zawsze przyszło im później słono zapłacić. Po wykonaniu prośby Andy zazwyczaj wychodził z domu. Na trzeźwo był całkiem spokojny, przez co wydawał się przystępny i rozsądny. Przyklejony do fotela bezmyślnie oglądał telewizję, ale gdy ktoś z rodziny naciskał, by wstał i coś zrobił, zaczynało się w nim gotować. Bez trudu dawało się wyczuć, że w jego wnętrzu coś iskrzy i wrze. Na początku związku potrzebował wymówki, by wyjść i się napić. Zaczynał kłótnię, po czym trzaskał drzwiami. W późniejszym czasie po prostu opuszczał dom bez słowa. Po powrocie robił im piekło. Wprawdzie nigdy nie uderzył matki, gdyż wpojono mu dżentelmeńską zasadę, że kobiet się nie bije, lub po prostu się obawiał, że po ciosie jego zakontraktowana ślubem służąca oprzytomnieje i wyrzuci go z domu. Uwielbiał doprowadzać żonę do granicy wytrzymałości. Jeszcze bardziej lubił te granice przesuwac.

Cały pijański bardak za każdym razem zaczynał się bardzo podobnie. Jeśli coś działa, to po co to zmieniać – tak uważał Andy. A wymuszanie uległości wciąż się udawało, zadowalało jego żądzę

władzy. Gdy tylko kobieta się oddalała, dawała mężowi pole do popisu i pełną kontrolę nad domem. Wtedy mężczyzna chwilowo się uspokajał i nie wyładowywał już złości na bezdusznych przedmiotach. Wolał nie zostawiać śladów, których nie mógłby zatrzeć. Rzadko rozbijał coś niechcący, chyba że w amoku rzucił tym celowo w stronę syna. Martwe rzeczy, w odróżnieniu od potomka, nie okazywały strachu, więc nie zaspokajały psychopatycznych potrzeb. Jego demon karmił się lękiem. Mężczyzna często wrzeszczał coś w stylu „nie jestem tu, kurwa, niewolnikiem”, wymachując przy tym rękoma. Był nieobliczalny. Oczy przegranego człowieka, zwykle pozbawione wyrazu, w tych chwilach zaczynały szaleńczo i złowrogo błyszczeć. Ogarniał go niekontrolowany obłąd. Nikt nie wiedział, jak to się skończy. Czy przypadkiem coś w domu rozwali, czy tylko będzie bił pięściami w mające „matczyne uszy” ściany i drzwi? Wyrzucał z siebie frustrację. Taki pokaz siły był zwykłym szantażem emocjonalnym, sugerującym, że może być gorzej, a ciosy w przyszłości zostaną skierowane w coś lub kogoś innego. Upajał się rosnącą atmosferą strachu, a dobrze wiedział, jak szybko kiełkuje i rozrasta się zasiane ziarno lęku. W podobny sposób, choć nie tak dotkliwie, traktował Andy'ego własny ojciec.

Samuel intuicyjnie wyczuwał istotę tego schematu i niebezpieczeństwa z nim związane, więc za wszelką cenę starał się nie ulec. Bronił się, by nie wniknąć głębiej w druzgocące mechanizmy świata piramidalnej władzy, w którym liczy się tylko siła. Nie dawał za wygraną, wciąż naiwnie i mocno wierzył w świat oparty na zrozumieniu, miłości i wolności. Był przekonany o możliwości zmiany i gdy o niej myślał, tliła się w nim iskierka nadziei. Miał w sobie ogromną dumę, która jeszcze nie zmieniała się w samouwielbienie i nie pozwalała chłopcu okazywać strachu i uległości. Wymuszała

pewne, przenikliwe spojrzenie, którym doprowadzał ojca do pasji. Andy nie dostrzegął w tym wzroku prób obrony przed utratą godności. Kierowany przekłamanym i wykoślawionym systemem wartości, mylił ten opór z typową próbą sił, a w tym domu nie mógł na coś takiego pozwolić. Nawet gdyby tylko z pozoru okazało się rzuceniem mu w twarz rękawicy. Z racji wieku stawał się coraz słabszy, więc postanowił złamać szczeniaka i ułożyć go zawczasu.

– Nie udawaj, że śpisz! – Mężczyzna zaczął natarczywie szturchać syna. – Wstawaj, wiem, że nie śpisz! – Kontynuował denerwujące trącenia, dopóki Samuel nie dał za wygraną i nie podniósł się z łóżka. – Wydaje ci się, że jesteś ode mnie lepszy, co? – zapytał ojciec z przekąsem. – Zobaczysz zaraz, jak cię... – Zamachnął się ręką, ale chłopiec nawet się nie uchylił.

Nie chciał dać ojcu tej chorej satysfakcji. Stał więc niewzruszony, z podniesionym czołem. Dobrze pamiętał szaleńcze zadowolenie oprawcy, gdy jako siedmiolatek stanął w obronie matki, a on w odpowiedzi zaczął rzucać nim po pokoju i wykręcać mu ręce. Ten psychiczny ból, który przez ciągle rozdrapywanie w końcu przebił cierpienie fizyczne, pozostał w nim na zawsze. W przyszłości nie mógł pozwolić na podobne rany.

Nie widząc reakcji, Andy się zreflektował i gwałtownie zaczerpnął powietrza, jakby łądował akumulatory złości.

– Zobaczycie, będziecie tu wszyscy chodzić jak w zegarku – krzyczał, spoglądając wściekle na zamknięte drzwi do pokoju matki. – Jeszcze wam wszystkim pokażę. – Oparł się o kominek, po czym gwałtownie odwrócił się w stronę syna i rzucił w jego nogi pogrzebaczem. – Chodź, porozmawiamy w piwnicy. – Po tym wybuchu i pokazie siły złągodniał. Zrozumiał, że fizyczną

przemocą niewiele już wskóra i jeśli chciał złamać syna, będzie musiał zmodyfikować technikę.

W ciągu następnych dni zmieniał usposobienie z agresywnego na życzliwe. Zaczął zwierzać się synowi, próbując usprawiedliwić swoje wcześniejsze postępowanie.

– Gdybyś tylko wiedział, co mój ojciec mi robił. Na nic mi nie pozwalał, a mogłem być kimś. Bardzo dobrze mi szło w piłce nożnej. Byłem bardzo dobry w sporcie, wiesz? Gdybyś widział, jak kopałem...

Samuel spojrział na niego z niedowierzaniem, bo nigdy nie grali wspólnie w nogę.

– Gdybym urodził się gdzie indziej, na pewno zostałemby znanym piłkarzem. Ale wszystko przepadło, już tego nie zrobię. Za późno. Ciężko się żyje z niespełnionymi marzeniami, coraz ciężiej – użalał się nad sobą Andy. – Może popełnię samobójstwo. – Dyskretnie otaksował Samuela wzrokiem w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak empatii. Z niecierpliwością wypatrywał załączka kielkującej więzi, która miała być podwaliną nowej, emocjonalnej niewoli. Był niezmiernie dumny z tego planu i nie zauważał, że w ten sposób powieli pewien schemat, w którym role się odwróciły. Teraz on był ze starszyny i to on wymagał uznania i uległości syna.

Jeśli uda mu się wzbudzić u Sama sympatię czy jakiegokolwiek pozytywne uczucia do własnej osoby, to z ich pomocą może zbudować mury mentalnego więzienia scementowane poczuciem winy. Jeśli się je dziecku wpoi, okazuje się ono niezwykle silnym fundamentem manipulacji. Gdy połączymy je ze strachem lub miłością do narzuconych zasad, to przestajemy te nakazy kwestionować i ślepo się im poddajemy. Andrew dobrze o tym wiedział.



Uległ i teraz czuł się pokonanym człowiekiem. Pewny siebie wzrok wciąż niepokornego syna przypominał mu o własnym upadku, a gdy złość wygasła, czasem męczyły go wyrzuty sumienia. Od lat łamał nie tylko kościelny kodeks moralny, ale też, co gorsza, prawidła wpojone pasem przez jego ojca – jedyną osobę, której tak się bał, a przez to ją szanował. Uznał, że nadeszła pora, by tego szacunku do autorytetów nauczyć swojego pierworodnego. Ten splendor i posłuszeństwo mu się po prostu należały. To przecież boskie, niepodważalne prawo, które – głównie przez pośladki – zostało wyryte w jego umyśle równie mocno, co na dwóch kamiennych Mojżeszowych tablicach.

Pamiętaj! „Czcij ojca swego i matkę swoją”.

Pamiętał zarówno to, jak i zapach skórzanego pasa, palący ból i upokorzenie. Samuel też zapamięta. Chłopak zagryzł zęby w ten sam sposób co Andrew, kiedy sprzeciwiał się ojcu. Mężczyzna teraz z podobną zaciętością obiecał sobie, że nie odpuści i w końcu zasiądzie na domowym, patriarchalnym tronie.

W końcu syn dołączy do matki i oboje będą mu usługiwać. Jemu, strażnikowi tego lochu, który od czasu do czasu łaskawie pozwoli im na trochę wolności. Natomiast uległość wynagrodzi skinieniem głowy, uznaniem, a może nawet dobrym słowem. Pies też tego przecież potrzebuje. Ponownie zlustrował syna i ukrył dezaprobatę.

– Dobry z ciebie chłopak, ale o wielu rzeczach jeszcze nie wiesz. Oj, dużo się musisz nauczyć. Jeśli ja ci tego nie pokażę, to życie to zrobi. Lepiej mnie wysłuchaj, bo nie jest łatwo. Zresztą zobaczysz. Pamiętam, jak mój tatko... – Ojciec zaczął się zwierzać. Opowiadał o swoich doświadczeniach tak długo, że zaszkliły mu się oczy. Nagle wydał się innym człowiekiem, stał się bardziej

ludzki. – Kiedyś to wszystko zrozumiesz. Kiedyś wszystko ci opowiem. – Głos mu się załamał, wyraźnie się nad sobą rozczulił. Tym razem uwidocznili tę chwilę słabości.

Chłopak nie reagował. Nie wiedział, co miałby zrozumieć, bo przecież ojciec powtarzał schemat ze swojego dzieciństwa. Przez lata robił to, na co teraz narzekał. Zwierzenia nie zdążyły jeszcze zmiękczyć serca chłopaka, czuł zobojętnienie i dezorientację. Ta zmiana nastroju Andy'ego zupełnie zbiła Samuela z tropu. Nie wiedział, co ma robić. Z jednej strony bardzo brakowało mu bratniej duszy, na jaką kreował się aktualnie ojciec, z drugiej zaś nie chciał obdarować uczuciem kogoś, kto sprawiał mu tak wiele bólu. Po pewnym czasie jednak potrzeba ojcowskiej akceptacji przeważała szalę.

Postanowił traktować rodzica ze współczuciem i miłością. Pozytywne nastawienie wypełniało radością jego serce. Starał się zrozumieć postępowanie Andrew i pozwalał mu się zwierzać do późnych godzin nocnych. Jako dziecko niewiele z tego rozumiał, ale cieszył się kontaktem z ludzką stroną taty.

Pewnego wieczoru mężczyzna wszedł do domu mocno pijany i władczym tonem nakazał Samuelowi zrobić herbatę. Chłopak, niczym chrześcijański samarytanin, otworzył prawie pustą puszkę i zaparzył napój z resztek suszu.

– To ma być herbata? Robisz ze mnie idiotę? – krzyknął ojciec, wylewając napój do zlewu. Gorąca para buchnęła gwałtownie do góry, co wyglądało tak, jakby nagle otworzyło się piekło.

– To była dobra herbata, sam bym ją wypił, nie było więcej. – Skruszony chłopiec zaczął się tłumaczyć.

Andy długo czekał na tę chwilę słabości. Objął dłońmi szyję syna i ścisnął coraz mocniej. Jego oczy znowu się ożywiły

i rozbłysły niczym źrenice narkomana, który wstrzyknął sobie sporą dawkę po długim odwyku. Wzmocnił chwyt, co pozbawiło Samuela oddechu, lecz chłopak nawet nie próbował zaczerpnąć powietrza. Był w szoku, nie mógł uwierzyć, że całą jego dobroć i życzliwość ojciec odebrał jako słabość.

Oczy dziecka początkowo rozszerzyły się ze zdziwienia, a zaraz potem powieki opadły, by ukryć uchodzące życie. Klatka piersiowa zastygła w bezruchu, a serce właśnie pękało. Samuel się poddał, opuścił ramiona i czekał na wyrok. Ostatni ruch kata. Było mu już wszystko jedno.

\* \* \*

Jedna z lampek automatycznie wykrywających światło zaczęła migotać i gasnąć. Pozostałe trzy mrugały słabnącym blaskiem, by za chwilę wyłączyć się zupełnie. Rozjuszone ptactwo coraz głośniejsze i melodyjniej świergotało zalotne pieśni, przekrzykując się nawzajem. Niezestrojone dźwięki plątały się, tworząc mało istotne tło dla solówek przedstawicieli płci męskiej, które tymi harmonijnymi, wysokimi tonami kokietowali wybranki. Miasto jednak nie zwracało uwagi na tę poranną operetkę. Co jakiś czas samochód przecinał ulicę, zagłuszając trele. Zajęci codziennymi rozterkami ludzie nie byli zainteresowani niczym poza własnymi sprawami. Ptasi chór nie był w stanie kogokolwiek zaciekawić na tyle, by pozbawić go choć minuty upragnionego, regenerującego snu. Wydawało się, że w całym Salem jedynie Elena doceniała uroki natury, bo już po kilku donośniejszych nutach obudziła się i zaczęła wsłuchiwać w kojące melodie. Była spokojna, szczęśliwa jak zwykle. Zewnętrzne bodźce stymulowały jej wewnętrzną energię. Tę dziwną,

pierwotną moc, której nie mogła zrozumieć, choć towarzyszyła jej od zawsze. Dodawała sił i wzbudzała radość. Samoistnie i intuicyjnie pozwalała znaleźć odpowiedni balans. Stanowiła bezpieczną przystań i zaplecze jakże istotne do kontynuowania emocjonującego poszukiwania nowych nieznanych szlaków i pogłębiania wiedzy.

Elena czuła się tak, jakby cały świat należał do niej, a ona do niego. Nie miała ambicji, by go zmieniać. Zwyczajnie cieszyła się z niemal wszystkiego, co przynosiły dni. Wystarczył jej niewielki wpływ na bliskie otoczenie. Odwzajemnienie uśmiechu i miłego słowa uznawała za codzienną misję. Z przyjemnością dzieliła się wigorem i prostolinijną dobroduszością, a przez wytrwałość potrafiła skruszyć niemal każde zatwardziałe serce.

Jej młodzieńcza, wręcz infantylna, ciekawość była głównym motorem działania i źródłem niespożytej witalności. Z radością chłonęła każdą chwilę. Nawet te złe i smutne momenty akceptowała ze spokojem i zaraźliwą pogodą ducha. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – pocieszała się tym sloganem przy każdym niepowodzeniu, wrzucając przykre wspomnienie do bagażu doświadczeń. Z pokorą przyjmowała kolejne ciosy, jednakże szybko wyciągała z nich odpowiednie wnioski. Mimo licznych utrapień i bolączek, z których największą była przedwczesna śmierć jej rodziców, nie traciła wewnętrznego spokoju i fascynacji światem. Przypuszczała, że spotka ją coś niezwykłego, coś, co na zawsze odmieni jej życie. Nie wiedziała jednak, że nastąpi to tak szybko i bezpowrotnie zmieni jej sposób myślenia i postrzegania świata.

Elena podniosła telefon i wyłączyła opcję budzika, zanim ten zdążył się uruchomić. Wciąż leżąc, głęboko zaczerpnęła powietrza. Wstrzymała oddech i się przeciągnęła, po czym z namaszczeniem wypuściła zawartość płuc.

Z uczuciem podobnym do kojącej nostalgii podciągnęła puszystą kołdrę, która zsunęła się z jej ciała ledwie kilka sekund wcześniej. Opatuliła się dokładnie, powciskała pierze w każdą szczelinę, przez którą mógł wdrzeć się chłód poranka, i rozkoszowała się ciepłem. Pomimo tak grubego nakrycia Elena miała wrażenie puchowej lekkości, jakby lewitowała na perskim dywanie.

Objęła się rękami, dłonią wędrując pod lewą pachę, gdzie pod palcami znów wyczuła niewielką bliznę. Była to właściwie jedyna niedoskonałość na gładkiej, niemal nieskazitelnej powierzchni ciała dziewczyny. Pięta Achillesa jej boskiego piękna. Musnęła ją opuszkami, próbując przypomnieć sobie chwilę, w której powstała. Na próżno. Kojarzyła się wyłącznie z bólem. Nie fizycznym, a mentalnym. Z emocjonalną pustką, którą desperacko chciałyby wypełnić. Zamknęła oczy i przesunęła dłonią po skórze. Niczym niewidomy posługujący się alfabetem Braille'a przesuwiała palce w prawą stronę, aż do końca zagojonej rany. Szrama była prawie niewidoczna, do tego tak naprawdę ledwo namacalna, ale intrygowała Elenę za każdym razem, gdy ją wyczuła. Powtórzyła tę czynność, lecz w pamięci wciąż pozostawała ta sama, niezapisana karta. Tabula rasa jej dziecięcych dni, której już nikt nie potrafił zapełnić wspomnieniami.

– Ech, gdyby tylko rodzice żyli – rozmarzyła się.

Przeciągała sekundy rozmyślań spędzone w miłym cieple. Sporym wysiłkiem woli w końcu odrzuciła nakrycie, szybko, tak jak zrywa się plaster, i wyskoczyła z łóżka. Sprężyste mięśnie wprawiła w rutynowy i przećwiczony ruch. W mgnieniu oka nagie ciało, które właśnie doznało termicznego szoku, zostało owinięte białym szlafrokiem. Gdy Elena wsunęła stopy w pluszowe kapcie, zupełnie przestała myśleć o przymrozku.

Podeszła do szyby. Zafascynowana wpatrywała się w budzący się ognisty krąg wyłaniający się majestatycznie zza oceanu. Pomimo tego, że widziała wschód słońca już setki razy, to i tak niezmiennie wprawiał ją w zachwyt. Słońce podbijało jej serce i delikatnie pobudzało umysł. Szeroko otworzyła okno, by wypuścić rzeński powiew wilgotnego wiatru.

Lekkie muśnięcie na prawej łydce wyrwało ją z błogostanu. Odruchowo cofnęła nogę i przykucnęła gwałtownie.

– Jak się tu znalazłeś, sąsiedzie? – Zaczęła z wyczuciem głaskać ogromnego, czarnego kocura.

Zwierzak przywitał się mruzeniem.

– Znowu udało ci się mnie przestraszyć. – Podrapała go za uchem, a kot z zadowoleniem wygiął grzbiet. Gdy tylko nacieszył się pieścizotami, zamiauczał donośnie, jakby czegoś żądał za to, że zaszczycił Elenę swoją obecnością.

– Już, już. Jakiś ty niecierpliwy. – Otworzyła dolną szufladę, w której pozostało pięć puszek karmy.

*Co ja mam z tym zrobić, przecież nie zabiorę tego ze sobą?*, zastanowiła się. Rozpakowała starannie wyselekcjonowany koci przysmak i napełniła nim leżącą przy oknie miskę.

Rozległ się odgłos łapczywego jedzenia.

– Nie jestem pewna, czy powinnam cię tak rozpieszczać. Twoja pani może być na mnie zła.

Kot popatrzył na gospodynię z takim grymasem, że wiadomo było, iż jest mu to właściwie obojętne. Przeżył już swoje lata i nikomu do tej pory nie dał się ograniczyć do jednego domostwa. Uwielbiał wolność. To on wybierał sobie towarzyszy, a nie na odwrót. Nawet jeśli ktoś się łudził, że zwierzak należy do niego, bo często przychodził i pałaszował poczęstunek, to dla kocura

znaczyło mniej więcej tyle co zeszłoroczny śnieg. Tresował ludzi, a nie ludzie jego. Przy jakimkolwiek sprzeciwie uciekał przez uchylone drzwi lub okno, a kiedy nowy „właściciel” zamykał go w jakimś pomieszczeniu, to po powrocie i oszacowaniu materialnych strat nigdy więcej już tego nie robił. Kociak uwielbiał Elenę, gdyż jako jedna nie była natarczywa. Nie męczyła go długimi pieścizkami, kupowała co chwilę nowe pyszności i tylko patrzyła, jak pochłania je z apetytem, po czym wyskakuje przez okno i zbiega po przeciwpożarowych schodach.

Tym razem było podobnie. Kobieta uruchomiła ekspres i usiadła na łóżku. Wpatrywała się w kota, który po posiłku zamruczał z aprobatą. Jednym susem znalazł się na parapecie. Skierował na Elenę wzrok pełen uznania. Podniósł dumnie głowę i oblizał pyszczek. Był dobrze odżywiony, o czym świadczyła bujna, błyszcząca sierść. Po chwili wyskoczył i pobiegł na dół.

Mocna kawa wyrwała dziewczynę z resztek sennego otępienia, a letni prysznic zaprawił do codziennych zmagają. Tego dnia włożyła skromną sukienkę z białego lnu. Ułożyła włosy w kok, odsłaniając w ten sposób gładką, powabną szyję i niemal dziecięcą twarz. Szczupła, drobna sylwetka, niewielki wzrost i to wyjątkowe, dobroduszne spojrzenie nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że jest uczciwą osobą i godnym zaufania członkiem społeczności Salem. Miasta, które po jej powrocie przyjęło ją tak serdecznie. Traktowano ją tu wyjątkowo dobrze.

W tym przesiąkniętym plotkami miasteczku prawie wszyscy wiedzieli o koszmarze, przez który przeszła, więc gdy tylko zauważono jej przyjazd, uprzejmości i dobre słowa płynęły z każdej strony. Odnosiła wrażenie, że czas się cofnął i znowu miała zaledwie kilka lat. Wiedziała, że za większością tych przemiłych uśmiechów

kryło się politowanie, ale nie przeszkadzało jej to i odwzajemniała je bardzo chętnie.

Uwielbiała życie, więc nikogo nie dziwiło, że wstawała tak wcześnie, by poczuć powiew porannej bryzy. Tylko nieliczni wiedzieli, dlatego w okresie letnim ustawiała budzik na taką godzinę, a na wielkiej tablicy umieszczonej w centralnej części mieszkania oprócz aktualnej daty zapisywała kredą godziny wschodu i zachodu. Alarm nastawiała zawsze na pięć minut przed pojawieniem się pierwszych promieni. Nawet w dni, w które mogła sobie pozwolić na dłuższy sen, nie potrafiła odpuścić i z uporem maniaka sprawdzała dane dotyczące początku i końca dnia. Przynajmniej tak tłumaczyła to wścibskim gościom i choć była to prawda, to jedynie częściowa.

Z pewnym żalem zmazała gąbką kredowy napis „21 czerwca”. To w końcu najdłuższy dzień w roku. W internecie znalazła potrzebne informacje i przeniosła je na tablicę, napisała „22–23 czerwca 2007 roku”. Resztę, czyli „5:06” i „20:24”, zostawiła bez zmian. Wprawdzie dzień zaczynał się kurczyć, ale zaledwie o kilka sekund i nie zmieniały one minutowego zapisu. Elena miała fotograficzną pamięć, więc ten sposób zachowywania ważnych danych wydawał się najbardziej logiczny i wskazany. Zapatrzyła się na swoje dzieło. Trwała tak dobrą minutę, po czym włączyła radio. Usiadła wygodnie i zaczęła słuchać audycji lokalnej stacji, która – odkąd dziewczyna pamiętała – rozweselała ją opowiastkami z życia tego małego, studenckiego miasteczka. Radiowe żarty i wspomnienia minionego dnia przeplatane były muzyką, nie tylko powszechnie znaną, ale także piosenkami zespołów z pobliskiej uczelni. Od wczoraj jednak audycje stały się poważniejsze i co jakiś czas pojawiał się komunikat o zaginięciu siedmioletniego



chłopca. Głos zrozpaczonej matki sprowadził Elenę na ziemię. Nie mogła uwierzyć, że w tak zgranej i spokojnej społeczności mogło stać się coś złego. Miała jednak świadomość, co wydarzyło się niespełna dziesięć lat temu i zdawała sobie sprawę, jak łatwo harmonia w życiu zmienia się w chaos. Głównie dlatego panicznie bała się zamkniętych przestrzeni i mroku. Gdy gaśły światła, nawiedzały ją one – demony szepczące o traumie z przeszłości.

\* \* \*

Ojciec Samuela wytrwale sprawdzał numery telewizyjnych gier liczbowych i śnił o potędze. Skrycie marzył o tym, by rządzić i być podziwianym, rozdawać pieniądze na lewo i prawo, patrzeć, jak ludzie wokół niego kłaniają się i całują go w rodzinny, złoty sygnet. Jego własny syn nie chciał się temu poddać i to rozwścieczało go ponad miarę. W młodości Andy był bardzo podobny do dwunastoletniego Samuela i to jego ojciec pokazał mu, jak działa prawdziwy świat. Teraz on dla „dobra” syna musiał dać mu taką samą lekcję. Jeśli przeżyje, to może wyjdzie z tego silniejszy od niego i będzie mógł pomiatać tymi, którzy teraz pomiatają nim. *Co nas nie zabije, to nas wzmocni*, jak mawiał Nietzsche.

*Chłopak nie zdaje sobie jeszcze sprawy, co właściwie dla niego robię. To nadal głupi szczeniak, ale się nauczy*, pomyślał, a ten akt okrucieństwa zinterpretował sobie jako akt miłości.

W końcu wymusił uległość, poskromił charakter i ducha Sama. Udowodnił swą wyższość i to, że świat jest zły i nie ma w nim miejsca na dobro. Andy nie był już sam. Pokazał, że każdego

można złamać, tak jak i jego kiedyś złamano. Udowodnił sobie i synowi, że nie warto walczyć o to, co się wyrzywa z serca, bo prędzej czy później ktoś i tak nas zniszczy. Usprawiedliwiał tak swój chory sposób na życie. Pozbył się uciążliwego poczucia winy, a nawet przekształcił je w poczucie dumy, że to właśnie on, a nie ktoś inny, dał Samuelowi tę bolesną lekcję.

– Jeszcze kiedyś mi za to podziękujesz. – Rozluźnił uścisk. – Jednak dobrze cię wychowałem.

Sprawdził, czy nie wywoła tym tego irytującego, bojowego zachowania syna, lecz w chłopięcym spojrzeniu nie było już tego gniewu i wyższości, które doprowadzały jego ojca do pasji. Wyprostował się i zdjął ręce z szyi chłopca. Machnął obojętnie jedną z nich, by zasygnalizować, że Sam nie ma już dla niego żadnej wartości.

Andy jeszcze przez chwilę chełpił się wygraną, patrząc na gaśnącą iskierkę nadziei. Odwrócił głowę w wyrazie zniesmaczenia i chwiejnym krokiem poszedł spać. Dało się zauważyć, że jest wyczerpany, ale na jego twarzy malowało się poczucie ulgi. Znowu mógł być sobą – tyranem i despotą, jedynym słusznym prawem siły i strachu. Miał możliwość wprowadzenia egoistycznego i wygodnickiego porządku. Nigdy nie chciał się zmienić. Wolał zmuszać innych, by dostosowali się do jego wymagań i zachcianek. Chociaż tak właściwie nie potrzebował zbyt wiele – miał ochotę po prostu leżeć, pić i zakąszać, czasem bić i zastraszać.

Samowi wydawało się, że to już ostateczna wersja domowego horroru. Był pewien, że gdy przestanie cokolwiek czuć, cierpienie również zostanie mu oszczędzone. Jednak brak doznawania okazał się znacznie gorszy. Wcześniej wszystko przeżywał, a teraz był jakby trupem, pustą skorupą. Wydawało mu się, że nic więcej

już go nie zrani, bo kto chciałby kopać zwłoki. Wkrótce przekonał się, jak bardzo się mylił. Poza fizycznym i psychicznym bólem pozostało mu jeszcze poczucie wstydu.

\* \* \*

Do Samuela i jego mamy docierały wieści, że ich oprawca narzuca się również innym rodzinom z tego samego kościoła. W pijackim amoku odwiedził nawet księży z ich parafii. Krąg znajomych Smithów przestał istnieć. Ludzie, których obrażał pijany mąż i ojciec, zaczęli ich omijać szerokim łukiem. Nikt z tych dobroduszných katolików nie chciał mieć do czynienia z taką patologią. Wyglądali, jakby sądzili, że mogą się od nich zarazić. Jedyne w kościele zachowywali przyzwoitość i rutynowo przekazywali im znak pokoju.

Do kościoła Mary i Andy chodzili osobno. Samuel i jego mama wybierali krótszą mszę dla dzieci, o czwartej trzydzieści po południu, a skruszony opijus, gdy tylko odpokutował kacem, po długiej kąpieli wkładał najlepsze rzeczy i szedł na popołudniową mszę główną. Jeśli tylko dolegliwości nie były tak silne, by wymóc pozostanie w domu, mężczyzna spowiadał się przed liturgią. Oczyszczony z grzechów, ponawiał rutynowe działania. Nie zmienia się działającej taktyki. A ta dobrze się sprawdzała – do czasu, gdy jego żona jeszcze zwracała na niego uwagę, wymagała czegoś i próbowała ratować związek. Potem, gdy już zupełnie odpuściła i stała się obojętna, on odwdzińczył się tym samym. Przestał ją zauważać. Czasem odburknął coś od niechcienia, ale bez większych emocji. Całą uwagę przekierował na syna. Teraz chłopiec był w centrum jego zainteresowania. Inni ludzie już dawno się nauczyli, by nie otwierać Andy'emu drzwi, trzymać go w bezpiecznej odległości.

Samuel był jedyną osobą, która pozwalała mu na wyładowanie złości. Chłopiec znowu stał się gwizdkiem od czajnika. Buchała przez niego wrząca para emocji, redukując skumulowane, nerwowe ciśnienie, którego nadmiar – za pomocą syna – wyładowywał Andy.

– Wiem, że nie śpisz. Masz mnie za idiotę? – Trącił go.

– Nie, nie mam.

– Masz szczęście. – Wstał i chwiejąc się, zamarkował cios otwartą dłonią. – Chodź, pokażę ci coś. – Chwycił chłopaka za piżamę, zrzucił go z łóżka i niczym esesman zaczął popychać w stronę schodów.

W piwnicy, z dala od ludzi, ojciec mógł się wydzierać i poniżać syna do woli. Czasem pozwalał sobie na rzucanie w Samuela czymś, co akurat miał pod ręką. Przypominało to tresowanie zwierzęcia poprzez strach i torturę. Powtarzało się dwie, trzy noce z rzędu, a czasem i częściej. W pozostałe noce chłopiec wysłuchiwał zwierzeń i bolączek ojca. Wymęczony niemal codziennym treningiem, zasypiał bez problemu. W dni, w które tata go nie odwiedzał go, miał okropne koszmary i niespokojny sen. Ta niepewność, czy oprawca przyjdzie, czy nie, napawała go lękiem i zazwyczaj, a to za sprawą wybujałej wyobraźni, przeżywał czekanie gorzej niż realną opresję.

Zdarzało się, że wieczorna gehenna nie trwała długo. Czasem po zaledwie kilku minutach zniesmaczony Andrew wychodził. Jak zwykle włączał telewizor na cały regulator i zasypiał. Wtedy Sam również odpływał w sen, oddawał się we władanie Morfeusza. Bóg snów specjalnie dla niego przeistaczał się w atakujące i zadziorne potwory, które pojawiały się tuż przed zaśnięciem i nie dawały chłopcu spokoju aż do rana.

Wszystkie dni wyglądały bardzo podobnie: pobudka, szkoła, szwendanie się po okolicy, wieczorne katusze i krótki sen.

W jego domu już nikt nie sprzątał. Rozrzucana ziemia nadal leżała w rogu za łóżkiem, a przewrócony niecały rok wcześniej kwiat pokryła warstwa pleśni. Z przyzwyczajenia Samuel podlewał to, co zostało. Ucieszył się, gdy pojawiły się pierwsze grzyby. Zakrzywione, długie nóżki wychodziły spod listwy podłogowej. Zaczął je pielęgnować z takim samym zapałem, co poprzednio roślinę. Badał przemiany w tej niezwykłej biosferze, gdzie życie, choć w innej formie, wciąż trwało. W niewidocznych i wilgotnych zakamarkach domu zaszczeplił grzybnie, dzięki czemu wyrastały coraz nowsze okazy. W wolnych chwilach uczył się o zachowaniu tych niewielkich cudów natury. Wypożyczył książkę o grzybach i zanotował na pierwszej stronie dziennika:

#### *Grzyby w przyrodzie:*

- rozkładają obumarłe szczątki roślinne i zwierzęce,
- są reducentami,
- tworzą próchnicę,
- biorą udział w procesie samooczyszczania się zbiorników wodnych,
- biorą udział w procesie mikoryzy.

#### *Grzyby w gospodarstwie:*

- służą za pokarm ludziom i zwierzętom,
- wykorzystywane są w lecznictwie (z pędzłaka otrzymano penicylinę),
- są przyczyną chorób.

### *Zalety:*

- *wchodzą w symbiozę z drzewami,*
- *rozkładają martwą materię organiczną,*
- *są wykorzystywane do tworzenia leków, np. penicyliny,*
- *mają zastosowanie w piekarnictwie i gorzelnictwie.*

### *Wady:*

- *niszczą rośliny i zabudowy,*
- *powodują choroby u zwierząt i ludzi,*
- *psują produkty spożywcze,*
- *niszczą plony rolne.*

Dokształcał się i coraz bardziej doceniał niesamowity wpływ grzybów na środowisko. Zarówno one, jak i bakterie były potrzebne w każdym ekosystemie. Podziwiał ich możliwości. Może nie wyglądały ładnie, ale okazywały się niezbędne. Niby małe i bezbronne, a miały tak wielką moc. Ich niewidoczna grzybnia mogła rozrastać się do woli, wpływając na inne organizmy w promieniu wielu kilometrów.

Zastanawiał się, jak smakują i jak zareaguje jego organizm, gdy je zje. Gdy popadł w głęboką depresję i stwierdził, że i tak już właściwie umarł, skonsumował jednego. Było mu wszystko jedno, czy przeżyje ten eksperyment. Musiał spróbować. Kiedy tylko przełknął grzyba, poczuł ostrą gorycz, zapadł w boski stan hipnotycznego odlotu i – nie wiadomo po jakim czasie – zwymiotował. Powoli próbował każdego z okazów, te trujące wygotowywał i jadł zaledwie małe części. W większości przypadków

wpadał w narkotyczny trans, ale zdarzały się również nieprzyjemne zatrucia, wymioty i biegunki.

Rosnąca ilość grzybów i pleśni nie przeszkadzała domownikom. Mama już dawno przestała sprzątać, pracowała na dwa etaty i nie miała siły na domowe obowiązki. Czasem, gdy chciała zrobić porządek, a właściwie sprawić wrażenie rutynowej normalności, jedynie nieświadomie przyczyniała się do rozmnażania grzybnii. Zazwyczaj starą, mokrą i brudną szmatą rozprowadzała wilgoć i pleśniowe zarodniki po reszcie domu. Wydawało się, że przyzwyczaiła się do nowych warunków, lecz tak naprawdę zaczęła po prostu wpadać w otępienie. Powoli zanikał jej zmysł powonienia, a gdy już zupełnie straciła węch, odpuściła nawet te pozory zachowywania czystości. Przez większość czasu pogrążała się w molitwie i odosobnieniu.

Ojciec nie zwracał na zmiany uwagi. Nadmiernie pałac i pijąc, nadal niszczył swój organizm. Dawno przestał dbać o siebie. Jego odór wymieszany z gryzącą zasłoną nikotynowego dymu przebijał się przez zapach nowej mykoflory rosnącej w kątach domostwa, a nawet go maskował.

Samuel powracał w pamięci do dni, w których odwiedzał go ojciec. Pamiętał, jak oswajał się z bólem – zarówno fizycznym, jak i psychicznym.

– Nie można zepsuć czegoś, co jest już zepsute. Nie można sprawić bólu komuś, kto już nic nie czuje – powtarzał sobie po każdym ciosie, choć wiedział, że już w to nie wierzy.

Obojętność męczyła go bardziej i bardziej, aż zaczął uwalniać się od niej przez rosnącą wściekłość. Czuł ją coraz mocniejszy. Chował głęboko narastające w sercu złość i nienawiść nie tylko do ojca, ale również do siebie samego.

Niczym pokaz slajdów powracały wspomnienia z dawnych lat. Do niedawna mętne obrazy teraz się wyostrzyły. Stawały się tak wyraźne, że praktycznie przeistoczyły się w film, w którym to on, Samuel, grał główną rolę.

Dochodził do punktu zwrotnego, wariował. Audiowizualne przesilenie zaczęło mieszać się z fantazją i traciło sens. Wybudził się z tego koszmaru, po czym znów znalazł się w zatęchłej piwnicy. Nie wiedział, co było gorsze – te żywe, koszarne wspomnienia czy rzeczywistość. Oczy mu się zamykały, ale z uporem maniaka walczył ze snem, aż w końcu zaczął racjonalnie myśleć. Nie mógł pozwolić sobie na ponowne omdlenie i powrót do natarczywych wspomnień. Rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu jakiegoś punktu odniesienia. Czegoś, dzięki czemu się uratuje. Nie radził sobie już z samym sobą. Gdy wzrok choć trochę przyzwyczał się do ciemności, pojawiły się projekcje jego win, złych rzeczy, których był świadkiem.

Dookoła niego ukazały się znajome twarze nieletnich. Szaro-czarne cienie biegały po ścianach. Nikłe światło przenikało przez zabite deskami okiennice, potęgując klimat grozy. Serce zaczęło Samuelowi bić z niesamowitą szybkością. Nie miał pojęcia, czy był to wpływ narkotyków, czy odbicie tego, czego właśnie doświadczał. Dźwięki i złudzenia budziły strach, którego nie mógł przezwyciężyć. Dziwaczny stalowy pisk i mroczny rechot dotarły do jego uszu.

– Czego chcesz? – zaskrzeczał.

Poczuł smród rozkładających się zwłok. Mdłości momentalnie dotarły aż do gardła. Wilgotne powietrze w ciemnej piwnicy było



gęste i ciężkie niczym smoła. Z każdym wdechem Sam wręcz tonął w odmętach odoru. Jego płuca z trudem wyłapywały resztki tlenu. Zwymiotował i poczuł się trochę lepiej, czując coś mniej odrażającego niż wszechobecny fetor. Ulga jednak nie trwała długo, bo zmieszana woń rzygowin i stęchlizny okazała się nie do zniesienia. Przed przekrwionymi oczami znowu pojawiły się dziwaczne wizje – tym razem rozkładających się ciał. Martwe twarze małych dzieci wykrzywiały się w niemym krzyku, stwarzały obraz apokalipsy, końca świata, którego się bał, odkąd sam był dzieckiem.

– Dlaczego mi to robisz?

Próbował się poruszyć, uciec, ale z napięciem mięśni wiązał się niewyobrażalny ból. To wszystko stawało się tak nierealne, że nie mógł uwierzyć, że wciąż żyje. Miał nadzieję, że to tylko podobny do poprzedniego sen. Nawet otoczenie, które odwiedzał już setki razy, wydało mu się nieznajome, przepełnione złą siłą.

– Błagam, wypuść mnie.

Myśli zaczęły krążyć wokół zbrodni, gwałtownych i bezlitosnych morderstw. Stawały się bezwładne, jakby hipnotyczne, a lęk odbierał zdrowy rozsądek. Znow zobaczył obrazy z minionych lat. Ilustracje zabójstw, których obejrzał tak wiele, głównie w ogólnokrajowych wiadomościach. Jednak to, co czuł i widział, wydawało mu się bardzo znajome, jakby dotyczyło szczególnie jego. Próbował sobie coś przypomnieć, lecz bezskutecznie. Rozdzierały go sprzeczności własnego umysłu. Zaczął analizować najgorsze chwile życia, przeczuwając nieunikniony koniec.

– Dlaczego ja? – Z jego ust wydobył się skamlący pisk.

– Już powinienes wiedzieć dlaczego – odpowiedział głos, który wzbudził w nim wspomnienia.

– Pokaż twarz, skurwysynu – warknął Samuel głośniej, choć niemal opadał z sił.

Rozległ się krzyk. Świat, który Sam wcześniej wymazał z pamięci, ogarnął jego umysł. Pierwszy raz dostrzegł to, co mogli poczuć inni.

– Co się z tobą dzieje, Samuelu? – zapytał samego siebie i znów stracił przytomność.